

ZBIGNIEW DROZDOWICZ*

Wrażliwość i drażliwość uczonych

Wrażliwość i drażliwość należą do tych cech osobniczych, o których wiadomo, że występują w różnym stopniu i w różnej formie u każdego człowieka. Jeśli pojawiają się w tym zakresie istotne braki, to jest to traktowane jako nieprawidłowość. To przynajmniej jest pewne. Dalej jednak pojawiają się takie problemy, które przez jednych mogą i są w jakiejś mierze rozwiązywane, natomiast dla innych stanowią sporą zagadkę. W tych rozważaniach nie będę wskazywał ani wszystkich tych problemów, ani nawet nie będę sugerował, że możliwe jest sporządzenie ich kompletnej listy. Spróbuję natomiast wskazać niektóre formy przejawiania się wrażliwości i drażliwości uczonych oraz niektóre ze sposobów ich ujmowania i przedstawiania. Zarówno listę tych pierwszych, jak i tych drugich traktuję jako dyskusyjną. Nie mam bowiem wątpliwości, że niejedno jeszcze można na ten temat powiedzieć, a to, co zostało tutaj powiedziane, w niejednym punkcie można skorygować.

Przykładowe sposoby ujmowania wrażliwości i drażliwości

W internetowym słowniku synonimów podaje się ponad 170 synonimów dla słowa *wrażliwość* oraz ponad 60 dla słowa *nadwrażliwość*, przy czym jedno i drugie sytuowane jest w zróżnicowanych obszarach ludzkiej aktywności oraz namysłu nad nią – począwszy od psychologii, poprzez fizjologię, a skończywszy na teologii. Mniej zamienników i pól refleksji ma słowo *drażliwość*. Charakterystyczne jest jednak, że często eksponowany jest jej wymiar psychologiczny, a nawet chorobowy, wiązany m.in. z takimi stanami jak depresja. Sposobów ujmowania wrażliwości i drażliwości jest jednak tak wiele, że łatwo się w tym wszystkim pogubić – nawet tym, którzy profesjonalnie zajmują się tymi problemami, a zwyczajni ciekawscy mogą nawet dojść do wniosku, że różni specjaliści „od” nie tylko nie potrafią znaleźć wspólnego języka, ale także się wzajemnie zrozumieć. Jest zresztą kwestią otwartą, czy takie zrozumienie jest konieczne dla rozwiązania tych problemów, które stwarza ludzka wrażliwość i drażliwość. Jest przecież rzeczą normalną i naturalną, że punkt widzenia zależy od tzw. miejsca siedzenia i nie wszyscy mogą i chcą siedzieć w pierwszym rzędzie oraz przyglądać się z bliska temu, co rozgrywa się na tej scenie, na której znaczące role odgrywają wrażliwość i drażliwość. W tej części

* Prof. dr hab. Zbigniew Drozdowicz (drozd@amu.edu.pl), Katedra Religioznawstwa i Badań Porównawczych Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza

rozważań przywołam zatem kilka takich sposobów ich ujmowania, które jeśli nawet się nie dopełniają, to przynajmniej całkowicie się nie wykluczają.

Jednym z nich jest ujmowanie wrażliwości z psychologicznego punktu widzenia. Znalazł on swój wyraz m.in. w książce Elaine N. Aron *Wysoka wrażliwość*. Jej autorka prowadziła wieloletnie badania nad tytułową kwestią, a jej wyniki przedstawiła, posługując się terminologią typową dla psychologów eksperymentalnych i terapeutów. W świetle jej ustaleń wrażliwość uwarunkowana jest zarówno genetycznie (rodzimy się z nią), jak i biologicznie (stanowi taki układ nerwowy, który sprawia, że odbieramy więcej zewnętrznych bodźców oraz mocniej reagujemy na te bodźce). W swojej rozprawie wskazuje ona na takie cechy osób wrażliwych, jak: 1) introwertyzm oraz skłonność do wycofania się i unikania publicznych wystąpień, 2) skłonność do gruntowniejszych analiz pojawiających się problemów oraz trzymania się swoich zasad i wartości, 3) wyższe niż u innego typu osób poczucie odpowiedzialności czy 4) skłonność do skrywania w sobie swoich negatywnych stanów emocjonalnych (takich np. jak złość czy irytacja) oraz demonstrowania stanów pozytywnych (takich m.in. jak współczucie). Do tego typu osób autorka ta zalicza nie tylko różnego rodzaju ludzi sztuki („prawie wszystkie wysoko wrażliwe osoby mają ciągoty artystyczne”) i nauki, ale także teologów i sędziów. Wiele jednak tutaj zależy zarówno od procesu indywiduacji, jak i relacji osób wrażliwych ze społecznym otoczeniem². Sprawia to, że można ich znaleźć w różnych zawodach, na różnych stanowiskach i w różnych warunkach pracy i płacy³. Najtrudniej jest im funkcjonować w tych, w których nie mogą wpływać na otoczenie i w których „krzewi się nieustępliwość i rywalizacja” – autorka tej rozprawy zalicza do nich m.in. świat biznesu („niewątpliwie nie docenia on działających w nim osób wrażliwych”). W każdym przypadku w grę wchodzi jednak wiele takich uwarunkowań, które muszą być brane pod uwagę i uważnie analizowane w badaniu i ocenianiu funkcjonowania osób wrażliwych.

Pomocna w tym może być specjalistyczna literatura. Niełatwo jest jednak znaleźć takie opracowania, które w miarę głęboko ujmowałyby oraz wyjaśniały problem wrażliwości i drażliwości uczonych. Dużo łatwiej jest znaleźć takie, w których przedstawiany jest on w szerszym kontekście. Ma to jednak również swoją wartość poznawczą. Przykładem może być rozprawa Arnolda Berleanta *Wrażliwość i zmysły*, stanowiąca zbiór esejów, dla których wspólnym problemem jest wrażliwość na piękno. W sposobie

² W procesie indywiduacji „ważna jest przede wszystkim zdolność usłyszenia wewnętrznego głosu (lub głosów) ponad wszelkim wewnętrznym i zewnętrznym hałasem”. Por. E.N. Aron, *Wysoka wrażliwość*, Wydawnictwo Feeria, Łódź 2017, s. 207 i d.

³ Lista zawodów, które wydają się być „wyjątkowo dostosowane do osób wysoko wrażliwych” jest jednak długa i ogromnie zróżnicowana. Znajduje się na niej bowiem „renowator mebli, fryzjer zwierząt domowych, psychoterapeuta, pastor, operator ciężkiego sprzętu (...), rolnik, pisarz, artysta (tych jest bardzo wielu), technik rentgenolog, chirurg drzew, meteorolog, naukowiec, redaktor, księgowy i elektryk” (por. tamże, s. 2016).

jego rozwiązywania i przedstawiania wyników tych badań i przemyśleń jej autor stara się łączyć filozoficzny punkt widzenia z „biologicznym, materialnym, społecznym, historycznym i kulturowym”⁴. To łączenie tak różnych punktów widzenia sprawia, że mocno zróżnicowana jest również „materia”, z której „tkana” jest ta wizja wrażliwości estetycznej. Przywoływana w niej jest bowiem zarówno myśl starożytnej Grecji, w tym stanowiąca jej najwcześniejszą fazę spekulacja mityczno-filozoficzna, jak i myśl znacznie późniejsza, w tym stosunkowo młoda – taka m.in. jak myśl filozoficzna Deweya, Marlo-Ponty’ego czy Lyotarda (wymienionych tutaj filozofów łączyć ma próba „uwolnienia filozoficznego badania z ucisku metafizycznego dualizmu”). Przywołania te prowadzą autora tej rozprawy m.in. do sformułowania „dwóch meta-kognitywnych wymagań. Pierwsze z nich sprowadza się do identyfikacji rodzajów i różnorodności konstrukcji poznawczych, które pojawiły się w różnych czasach i w różnych miejscach. Drugie wiąże się z użyciem doświadczenia percepcyjnego, zwłaszcza doświadczenia estetycznego, aby można było je krytycznie rozpatrywać”⁵. Dla potrzeb tych osób, które nie mają ani skłonności, ani też specjalnego zaufania do myślenia filozoficznego, autor tej rozprawy przywołuje i konkretyzuje nie myślenie, lecz doświadczenie estetyczności – takie m.in., które jest „czerpane z czysto zmysłowej przyjemności związanej ze spoglądaniem na samotny *trójlist*, kwitnący wiosną pośród leśnych, przykrytych liśćmi rumowisk skalnych”⁶. Tutaj również można znaleźć miejsce dla konkretnych specjalistów „od”, oraz ich wrażliwości „na”, ale – podobnie jak w przypadku rozprawy E. Aron – nie jest ono wskazane jednoznacznie.

Można oczywiście uzupełnić te rozważania, odwołując się m.in. do tych uczonych, którzy w swoim życiu mieli artystyczne doświadczenia lub przynajmniej podejmowali próby opanowania którejś ze sztuk. Przykładem może być Albert Einstein, znany i uznany uczoney który próbował opanować sztukę gry na skrzypcach, a to, że nie osiągnął

⁴ Zdaniem autora tej rozprawy: „funkcjonują one w kontekście spraw estetycznych, które nadają im żywotność i ukierunkowanie, nie tracąc z pola widzenia ich znaczenia i możliwości zastosowania”. Ponadto praca ta „jest ważną i zarazem osobistą estetyczną deklaracją” wiary w to, że „przypisanie estetyczności centralnego znaczenia w ludzkim doświadczeniu” może się przyczynić do lepszego zrozumienia „świata ludzkich zdarzeń i działań”. Por. A. Berleant, *Wrażliwość i zmysły. Estetyczna przemiana świata człowieka*, Universitas, Kraków 2011, s. 11 i d.

⁵ „Pierwsze jest silnie wspierane przez etnologów, lingwistów, socjologów, geografów kulturowych i różnych krytyków kultury, którzy opisują i wyjaśniają takie przekonania z politycznych, historycznych, społecznych, filozoficznych i literackich punktów widzenia” (tamże, s. 73).

⁶ „Doświadczenie estetyczne może odsyłać do uczucia uniesienia i zdumienia, kiedy zachwycamy się każdym niepowtarzalnym pasmem chmur na niebie (...). Ktoś inny mógłby umieścić tu tajemnicze spotkanie z Rembrandtem z jednego spośród późnych autoportretów lub dreszcz zachwyty wywołany dramatyczną sekwencją złamanych oktaw w solo skrzypcowym z pierwszej części koncertu Brahmsa” (tamże, s. 50).

w tym zakresie oszałamiających sukcesów, nie oznacza całkowitego braku u niego wrażliwości na piękno. Co więcej, przykład ten może być interesującym przyczynkiem do dyskusji, jak ogromnie zróżnicowana i różnie zorientowana może być ta wrażliwość. Nie ulega bowiem wątpliwości, że u tego wybitnego uczonego była ona zorientowana na to piękno, którym oznaczają się teorie naukowe – w szczególności te, które są formułowane przez matematyków i które mogą stanowić, i niejednokrotnie stanowiły, swoisty wzorzec dla ich formułowania w innych dyscyplinach⁷. W historii nauki można również znaleźć przykłady takich stanowisk, w świetle których wrażliwość na piękno teorii naukowych uznaje się za istotne kryterium ich wyboru. Przykładem może być wybitny matematyk i filozof francuski Henri Poincaré. Przypomnę, że w swoich rozważaniach nad wartością nauki starał się on pokazać i wykazać, że w tych najbardziej rozwiniętych teoretycznie dyscyplinach – takich jak matematyka, astronomia i fizyka teoretyczna – ci, którzy je uprawiają, opowiadają się niejednokrotnie za przyjęciem jednych teorii i odrzuceniem innych, kierując się tym, że te pierwsze wydają się im piękniejsze niż te drugie⁸. To ujęcie problemu wrażliwości uczonego stanowi integralną część filozofii nauki, nazywanej konwencjonalizmem scjencyjnym.

Zbliżone do niego są te ujęcia, których autorzy poszukują cech charakterystycznych dla wrażliwości i drażliwości uczonych w ich praktycznych działaniach. Można je znaleźć m.in. na kartach rozprawy Janusza Goćkowskiego *Ethos nauki i rola uczonych*. Jej autor proponuje spojrzeć na środowisko uczonych jako na swoisty „teatr życia kulturalnego”, którego główni aktorzy wyposażeni są: a) „w odpowiednie kompetencje merytoryczne”; b) „postępują wedle wybranych i uznanych opcji o charakterze aksjologicznym i epistemologicznym”. Odwołania do wrażliwości uczonych można znaleźć w każdej z pięciu części tej rozprawy. Występuje ona jednak w istotnie różniących się kontekstach – począwszy od jej kontekstu życiowego, poprzez konteksty praktyki naukowej, „wykorezowania się” ludzi nauki i ich deprawowania (do patologii włącznie), aż do jej aspektu terapeutycznego i „przywracania normalności w życiu naukowym”. Tak szeroka i zróżnicowana perspektywa sprawia, że wrażliwość raz przedstawiana jest jako cecha osobnicza, natomiast innym razem jako cecha wspólna tej grupy osób, których nazywa się ludźmi nauki. Tym, co ich łączy, jest m.in. wrażliwość na prawdę. Autor tej rozprawy

⁷ Byli jednak tacy matematycy, którzy mieli większą od Einsteina wrażliwość na piękno teorii. Jego biografowie przypominają, że „w roku 1908 były nauczyciel Einsteina Hermann Minkowski nadał teorii względności bardziej elegancką postać matematyczną, w której czas i przestrzeń tworzą nierozzerwalną całość, zwaną czasoprzestrzenią”. Por. R. Highfield, P. Carter. *Prywatne życie Alberta Einsteina*, Wydawnictwo Prószyński i S-ka, Warszawa 1995, s. 193 i d.

⁸ Por. H. Poincaré, *Wartość nauki*, Warszawa 1908. Szerzej w tej kwestii, por. Z. Drozdowicz, *O racjonalności w filozofii nowożytnej. Wykłady*, Wydawnictwo Naukowe UAM, Poznań 2008, s. 129 i d.

już w jej części wprowadzającej stwierdza, że „ethos nauki jest ethosem uczonych właściwie uprawiających grę o prawdę naukową”⁹.

Trudniej jest znaleźć w przywoływanych rozprawach odwołania do drażliwości uczonych – być może dlatego, że traktowana jest ona jako coś takiego, co wprawdzie im się przydarza, ale nie jest to powód do chwały. Kwestia ta pojawia się jednak w szerszym kontekście. W *Wartości nauki* H. Poincaré’go występuje ona m.in. w tym miejscu, w którym się mówi o tak fundamentalnej kwestii, jaką jest stanowienie przez uczonych zasad i praw nauki, tj. tego, co w najbardziej zaawansowanych teoretycznie naukach stanowi i stanowić powinno nadrzędny cel ich intelektualnych zmagani. Nazywane są one przez niego „dekretami naukowymi” i traktowane jako wynik swoistego porozumienia kompletnego grona osób uprawiających te nauki. Trudno sobie wyobrazić dojście do takiego porozumienia w sytuacji, gdyby osoby te nie przejęły kontroli nad swoją drażliwością i nie skierowały jej przeciwko tym, którzy ani nie posiadają odpowiednich kompetencji, ani nawet nie za bardzo się orientują, jakiego rodzaju kompetencje są potrzebne, aby być uczestnikiem tego, co J. Goćkowski nazywa „teatrem życia kulturalnego”. W rozważaniach tego ostatniego można zresztą również znaleźć szereg takich miejsc, w których wskazuje się, w jakich sytuacjach i przeciwko komu i czemu uczoney ma nie tylko prawo, ale i obowiązek wyrażać zarówno swoją wrażliwość, jak i drażliwość. Krótko rzecz ujmując, można powiedzieć, że ta ostatnia znajduje swoje uzasadnienie i usprawiedliwienie wówczas, gdy ma on poczucie zagrożenia realizacji takiego swojego powołania, jakim jest dążenie do prawdy. Jednak okoliczności, w których takie zagrożenie się pojawia, jest wiele i są one dosyć mocno zróżnicowane – żeby tylko tytułem przykładu wymienić takie zagrożenia, jak: „indoktrynacja i manipulacja wiodące ku demoralizacji profesjonalnej”, „wykorzenia ludzi nauki” i rozpad tych wartości, bez których nauka przestaje być nauką i staje się podporządkowaną bieżącym interesom politycznym ideologią¹⁰. W literaturze można również znaleźć takie opisy drażliwości uczonych, które pod jednym względem zasmucają, ale pod innym rozbawiają. Przykładem może być opisywany przez Pierre’a Bourdieu ten *Homo Academicus*, którego wrażliwość można porównać do wrażliwości zakochanego bez pamięci młodzieńca, a drażliwość do drażliwości kochanka odtrąconego¹¹.

⁹ „W grze tej chodzi o wiedzę coraz lepszą pod względem walorów przedstawienia i objaśnienia rzeczywistości. Uczestnicy gry powinni tedy pojmować wszelkie teorie i metody jako instrumenty w grze”. Por. J. Goćkowski, *Ethos nauki i role uczonych*, Secesja, Kraków 1996, s. 19 i in.

¹⁰ J. Goćkowski analizuje to m.in. na przykładzie „zachowania się uczonych polskich w warunkach ustroju realnego leninizmu (por. tamże, s. 267 i d.).

¹¹ W wyniku sprzeczki ze swoją dziewczyną ów młodzieniec zwraca się do dyrektora zoo z prośbą, aby umieścił go w klatce obok szympanсів i napisał na tabliczce: „Prosi się zwiedzających o niedrażnienie osobnika krytycznymi uwagami”. Por. P. Bourdieu, *Homo Academicus*, Les Editions de Manuit, Paris 2000, s. 289 i d.

Studium przypadków wrażliwości i drażliwości uczonych

To studium przypadków – podobnie zresztą jak każde inne – nie może mieć mocy rozstrzygającej o znaczeniu w życiu uczonych wrażliwości i drażliwości. Mam jednak nadzieję, że nie tylko ukazuje ono złożoność problemu, ale także można w nim znaleźć jakieś wskazówki dotyczące sposobów jego rozwiązywania. W każdym razie nie są w nim przywoływane postacie przypadkowe. Każda z nich bowiem zarówno sama zapisała ważne karty w historii nauki, jak też dostarczyła istotnych inspiracji do ich zapisania innym. Jedną z nich jest Mikołaj Kopernik (1473–1543). Mówi się o nim, że „wstrzymał Słońce i ruszył Ziemię” (rzecz jasna, przenośnie). Jego opublikowane w 1542 roku w Norymberdze dzieło *De revolutionibus orbium coelestium* (*O obrotach sfer niebieskich*) stanowiło (już bez żadnej przenośni) prawdziwą rewolucję w myśleniu o tym układzie planetarnym, w którym znajduje się m.in. Ziemia. Było ono – jak to niejednokrotnie bywa z tego rodzaju nowatorskimi stanowiskami – przez jednych podziwiane, ale przez innych krytykowane i surowo oceniane. Tych pierwszych początkowo było stosunkowo niewiele, natomiast tych drugich nie tylko wielu, ale także zajmowali ważne miejsca w ówczesnym systemie wiedzy i wiary. Kopernik dedykował je papieżowi Pawłowi III, jednak to właśnie w środowiskach kościelnych wzbudzało ono najpoważniejsze zastrzeżenia i w końcu (w 1616 roku) trafiło na Indeks Ksiąg Zakazanych (znajdował się na nim aż do roku 1835). Krytykowali je zarówno teolodzy katoliccy, jak i protestanci, w tym Luter, który uznał, że „wywraca ono astronomię do góry nogami”, a nawet takie ówczesne autorytety naukowe jak Tycho Brahe¹². Wśród tych, którzy je podziwiali i uznawali trafność przedstawionej w nim teorii heliocentrycznej, znajdowali się jednak również dużej miary uczeni. Jednym z nich był Galileusz (wł. Galileo Galilei, 1564–1642). W swoich *Dialogach o dwu najważniejszych układach świata: ptolemeuszowym i kopernikowym* napisał, że wprawia go „w nieopisany zachwyt i zdumienie wzniosłość tych umysłów, które poglądy te (kopernikańskie – uw. Z.D.) przyjęły i uznały za prawdę, przewyciężając świadectwo własnych zmysłów i doświadczenia bystrością rozumu i dali pierwszeństwo temu, co dyktował rozum”¹³. Odpowiedź na pytanie: jakiego rodzaju wrażliwość kryje się za tym obrazem układu świata jest wprawdzie dyskusyjna, niemniej poza dyskusją jest fakt, że ani u Kopernika, ani też u podziwiającego jego dzieło Galileusza nie ma ona wiele wspólnego z tą, która jest charakterystyczna dla matematyków¹⁴.

¹² Szerzej w tej kwestii, por. M. Kokowski, *Różne oblicza Mikołaja Kopernika. Spotkania z historią interpretacji*, Wydawnictwa IHN PAN, PAU, Warszawa-Kraków 2009.

¹³ Por. G. Galilei, *Dialog o dwu najważniejszych układach świata: ptolemeuszowym i Kopernikowym*, PWN, Warszawa 1962, s. 353 i in.

¹⁴ „Kopernik stworzył system matematyczny przynajmniej tak dokładny jak system Ptolemeusza i posiadający podobnie jak ten ostatni matematyczne zalety i wady. Teoretycznie i jakościowo był on niewątpliwie prostszy, ponieważ mógł dać jednolite wyjaśnienie wielu rozmaitych

Dyskusyjną jest natomiast kwestia to, czy ma ona wiele ze spoglądaniem w niebo i pozostawianiem pod wrażeniem znajdujących się tam gwiazd. Wprawdzie na obrazie Matejki Kopernik spogląda w niebo, ale nie jest on nawet wyposażony w lunetę (została ona skonstruowana przez Galileusza dopiero w 1609 roku). Zresztą, gdyby nawet ją posiadał to nie dawałaby mu ona możliwości dostrzeżenia tego, że Ziemia krąży wokół Słońca, a nie odwrotnie. Te akcesoria, które pojawiają się na tym obrazie, należą jednak do wyposażenia zarówno astronoma, jak i matematyka (rzecz jasna, takiego, który nie ogranicza się do podstawowych działań na liczbach).

Wprawdzie na temat życia i działalności Kopernika napisano już wiele, to jednak z niewielu opracowań można się dowiedzieć o jego drażliwości. Jeśli już zatem pokusić się w tej kwestii o jakieś uogólnienie, to – używając określenia Janusza Szpotańskiego – należałoby go zaliczyć raczej do „cichych” niż do „gęgaczy”, przynajmniej jeśli chodzi o jego postawę w nauce. Przemawia za tym m.in. fakt, że długo zwlekał z wydaniem swojego epokowego dzieła¹⁵. W innych kwestiach – takich np. jak psucie pieniędzy czy zabieganie przez niego o godziwą płacę za dobrą pracę – można go jednak zaliczyć do „gęgaczy”; trzymającego się jednak takich standardów owego „gęgania” (krytykowania postępowania innych), które mieściły się w standardach zachowań osoby duchownej i liczącej się z opinią swoich kościelnych przełożonych.

Takich „gęgaczy” (osób, które wprawdzie w jednej kwestii są „za”, ale w wielu innych „przeciw”) jednak nie brakowało i nie brakuje w nauce – nawet tej XVI-wiecznej. Jednym z nich był wspomniany wcześniej Galileusz. Do historii nauki przeszedł nie tylko jego długotrwały proces przed trybunałem rzymskiej inkwizycji (zaczął się on w 1614 roku, a zakończył w 1633 potępieniem stanowiska kopernikańskiego i upokorzeniem Galileusza), ale także jego przekorne stwierdzenie: *a jednak się porusza*; miał je wypowiedzieć zaraz po tym, jak „przysiąg i zobowiązał się uznawać poglądy kopernikańskie za fałszywe, błędne i heretyckie”, oraz obiecał, że w „przyszłości nigdy nie będzie ich głosił ani słowem, ani na piśmie”. Owe przekorne słowa miał jednak wypo-

właściwości ruchu planet, który system Ptolemeusza tłumaczył w sposób dowolny i nieuporządkowany”. Por. A.C. Crombie, *Nauka średniowieczna i początki nauki nowożytnej*, t. II, Instytut Wydawniczy Pax, Warszawa 1960, s. 219 i d.

¹⁵ Jerzy Sikorski w swojej monografii twierdzi, iż fakt, że dzieło Kopernika „przeleżało niemal cztery dziesięciolecia w ukryciu” świadczy nie tylko o jego obawie przed reperkusjami ze strony Kościoła („oba zwalczające się Kościoły – katolicki i luterański – mogłyby go w zupełnej zgodzie ze sobą powiesić na grubej gałęzi za to, że w swoim myśleniu sprzeniewierzył się Pismu św.”), ale także o jego realizmie. Nieco dalej autor ten przywołuje ten fragment jego pisma do papieża, w którym stara się wyjaśnić, dlaczego „wbrew przyjętemu zdaniu matematyków i niemal wbrew powszechnemu przekonaniu miał odwagę wyobrazić sobie jakiś ruch Ziemi”. Por. J. Sikorski, *Prywatne życie Mikołaja Kopernika*, Pracownia Wydawnicza Elset, Olsztyn 2011, s. 268 i d.

wiedzieć szeptem i wiele wskazuje na to, że są niestety tylko legendą (pojawily się one po raz pierwszy na pośmiertnym portrecie tego uczonego)¹⁶. Nie są jednak legendą te jego nader liczne i – co tutaj mówić – idące „pod wiatr” nader krytyczne i gniewne słowa na temat ówczesnych autorytetów naukowych i wyznaniowych. Są one świadectwem zarówno jego wrażliwości na te prawdy, do których dochodzi się własnym rozumem, jak i drażliwości na punkcie prawa uczonego zarówno do ich osiągania, jak i obrony przed tymi, którzy albo nie posługują się własnym rozumem, albo też nie posługują się nim tak jak należy. Pojawiają się one na kartach jego *Dialogu* – m.in. w tych fragmentach tego dzieła, w których jeden z uczestników tego dialogu – Salviatoti (reprezentujący stanowisko Galileusza) przekonuje swojego adwersarza – Simplicia (reprezentującego tradycyjne poglądy w kwestii Nieba, Słońca i Ziemi), że się myli. Posługuje się on przy tym czasami dowcipem, a czasami niepozbawioną złośliwością sugestią, że jednak z umysłem i inteligencją jego adwersarza nie wszystko jest tak, jak być powinno, lub wręcz, że brakuje mu rozumu tam, gdzie jest on absolutnie niezbędny, aby móc się trafnie wypowiadać w kwestiach naukowych¹⁷. Świadectwa wrażliwości i drażliwości tego uczonego znaleźć można również w jego korespondencji – m.in. w jego napisanym w 1615 roku *Liście do pani Krystyny lotaryńskiej*, w którym swoich oponentów nazywa nieukami, natomiast o Piśmie św. pisze, że „nie zawiera żadnej teorii fizykalnej, lecz objawia nam nasze ostateczne cele moralne”, zaś dosłowna interpretacja tych miejsc, w których mówi się o Słońcu i Ziemi jest „sprzeczna zarówno z rozumem, jak i z tradycją interpretacji” tego pisma¹⁸. Jednak nawet te jego uwagi mieszczą się w ówczesnych standardach krytyki naukowej i były do zaakceptowania przez ówczesne środowiska akademickie i dworskie¹⁹.

Interesującym przyczynkiem do dyskusji nad temat wrażliwości i drażliwości uczonych może także być życie i działalność Izaaka Newtona (1642–1727). Również na jego

¹⁶ „Potem, jakby pragnąc dodatkowo przypodobać się słuchaczom, zaproponował, że będzie bronił starego systemu przed nową nauką. «Jeśli pozna jakiegoś heretyka lub podejrzanego o herezję, doniesie o tym Świętemu Oficjum». Położył dłonie na Piśmie Świętym. «Jeślibym zaś – oby Bóg mnie przed tym uchronił! – wykroczył przeciwko któremuś z tych przyrzeczeń, wówczas poddam się wszelkim karom i kaźniom, jakie nakazują święte kanony». Por. J. Reston Jr. *Galileusz*, Wydawnictwo Prószyński i S-ka, Warszawa 1998, s. 336 i in.

¹⁷ „Książka ta – czasem ostra, czasem zaskakująco dyplomatyczna, czasem prorocza i pomysłowa, ludzka i przyziemna, śmiała i niestaranna – stanowi doskonale odbicie osobowości autora” (tamże, s. 279).

¹⁸ Por. A.C. Crombie, *Nauka średniowieczna i początki nauki nowożytnej*, wyd. cyt., s. 247 i n.

¹⁹ Zdaniem cytowanego wyżej autora „Galileusz pisał językiem bezkompromisowego naukowego realizmu. Był zwolennikiem świata niezmiennych praw, istniejących niezależnie od poznania ludzkiego, prawdziwego świata, którego odkrycie jest zadaniem nauki, niewątpliwie w drodze subtelnego rozumowania teoretycznego, ale niemniej jednak pewnego” (tamże, s. 253).

temat powiedziano i napisano wiele – zarówno pozytywów, jak i negatywów. Jedno jest pewne: był naukowym geniuszem i – jak zresztą niejeden geniusz – postacią trudną do jednoznacznego przedstawienia; mimo iż zachowało się sporo świadectw jego osobowości oraz związanej z nią wrażliwości i drażliwości. Można jednak powiedzieć o nim z pełnym przekonaniem, że nie tylko zapisał ważne karty w historii nauki, ale także, iż temu zapisywaniu towarzyszyła spora wrażliwość i drażliwość, ta ostatnia zresztą wraz z wiekiem coraz bardziej się uwidoczniła i wyrażała w tych formach, których uczeni raczej powinni unikać; jednak w końcu to ludzkie, że często nie możemy znieść swoich konkurentów i oponentów. Przede wszystkim jednak trzeba odnotować, że był wrażliwy nie tylko na to, co można było zobaczyć lub odczuć w bezpośrednich kontaktach ze światem przyrody (że przypomnę tylko legendarne jabłko, które spadając mu na głowę, uświadomiło mu działanie sił grawitacji), ale także na to, co bezpośrednio wiąże się myśleniem matematycznym (jego opublikowane w 1687 roku fundamentalne dzieło nosi tytuł: *Philosophiae naturalis principia mathematica, Matematyczne zasady filozofii naturalnej*), oraz co można sformułować, posługując się zasadami tej nauki. Okazało się bowiem, że można przy ich pomocy sformułować nie tylko prawo powszechnego ciężenia, ale także rachunek różniczkowy i całkowy, oraz posłużyć się nimi przy opisie świata fizycznego. Niemniej wrażliwy był Newton na to, co jest tak ważne dla każdego głęboko wierzącego człowieka, tj. wiary w tego Boga, który może – i być może zechce – pochylić się nad naszym losem i otworzyć przed nami bramy tego świata, który pod wieloma względami różni się od tego wszystkiego, co mamy tutaj i teraz na Ziemi. Jego biografowie zgodnie podkreślają, że od dziecka był osobą głęboko wierzącą, a wraz z upływem lat jego religijna wiara jeszcze się pogłębiała i wyrażała w takich formach, które skłaniały jednych jej obserwatorów do żartów (napisano nawet komedię, w której są one wyśmiewane), natomiast innych do pytania, czy z jego umysłem na pewno wszystko jest tak jak być powinno. Jego samego natomiast inspirowało do badań zarówno tego świata (doczesnego), jak i tamtego (nadprzyrodzonego), oraz analizowania świadectw ich wielkości i złożoności²⁰. Rzecz jasna, dużo jeszcze więcej można powiedzieć o wrażliwości Newtona.

²⁰ Jego biograf Frank E. Manuel pisze, że „w ciągu trzydziestu lat wytężonej działalności intelektualnej w Cambridge, w okresie z niczym nieporównywalnego wysiłku, dodawała Newtonowi sił świadomość bezpośredniego, przez nikogo nie zapośredniczonego, osobistego kontaktu z Bogiem, jego Ojca. To dla jego chwały nieprzerwanie się trudził, a jedyną rozrywką było mu przechodzenie od jednego zagadnienia do drugiego. (...) W potajemnych rozważaniach teologicznych rozpatrywał drażliwe problemy dotyczące Trójcy Świętej – badał każdy, w dowolnym języku, biblijny rękopis na temat świętości Chrystusa, który wpadł mu w rękę. (...). Nic tak mocno jak jego namiętne wyznanie religijne w Scholium Generale nie poświadcza faktu, że Newton utożsamiał Boga z ojcem, wobec którego miał obowiązek posłuszeństwa, i którego woli miał się poddawać, a jego wyroki akceptować”. Por. F.E. Manuel, *Portret Izaaka Newtona*, Wydawnictwo Prószyński i Sk-a, Warszawa 1998, s. 130 i d. W dalszej części tej biografii jej autor pisze, że

Sporo można również powiedzieć o jego pozostającej w związku z nią drażliwości. Niemało uwagi poświęcił jej zresztą autor przywoływanej tutaj biografii Newtona. Nie wszystkie one mają bezpośredni związek z jego funkcjonowaniem jako uczonego (profesora w Trinity College i członka Royal Society – Towarzystwa Królewskiego, stanowiącego angielską Akademię Nauk). Kilka z nich ma jednak swoją głębszą wymowę i skłania do refleksji. Do historii przeszły m.in. te świadectwa jego drażliwości, które pokazują, że ten dużego formatu uczoney nie potrafił wznieść się ponad zwyczajne ludzkie małości. Związane są one m.in. ze sprawą jego wieloletniego sporu z Robertem Hooke’em, uczonym również sporej miary i rywalem do palmy pierwszeństwa w ówczesnej fizyce, astronomii i matematyce²¹. W nauce można oczywiście się różnić w niejednej ważnej kwestii i to różnić – jak się czasami mówi – pięknie. O to ostatnie nie było, i nie jest, jednak łatwo nawet takim uczonym jak Hooke i Newton. Bo czy jest rzeczą piękną bezstanie publiczne (na posiedzeniu Towarzystwa Królewskiego) przez Hooke’a swojego adwersarza („co ten odbierał jako karę i upokorzenie”) i odpłacanie mu tym samym przez Newtona (oskarżał on go o plagiat i mówił z pogardą o jego kwalifikacjach matematycznych). Czy jest nią wpadanie w złość na samo usłyszenie nazwiska oponenta (w takiej sytuacji Newton „gotów był na każdy, najbardziej nawet nierozważny krok, by zranic przeciwnika”)? Czy w końcu piękne jest to, że nie można znieść obecności swojego oponenta w Towarzystwie Naukowym i kiedy zyskuje się nad nim przewagę, pozabawia się go w nim znaczącej roli?²² Są to tzw. retoryczne pytania. Powinny być stawiane i to nie tylko dla przypomnienia niezbyt chlubnych kart z przeszłości, ale także dla pokazania, że również w teraźniejszości z zachowaniem uczonych nie zawsze jest tak, jak być powinno.

„potajemny rękopis *O Ziemi* (...) wskazuje dobitnie, w jak harmonijny sposób Newton czytał Pismo Święte i księgę natury, będące dlań źródłem wiedzy o Bogu i Jego dziele (tamże, s. 388).

²¹ „Newton i Hooke reprezentowali dwa niezgodne ze sobą style uprawiania nauki. Aczkolwiek żaden z nich nie poświęcił całego życia jednej dziedzinie, rozległość ich zainteresowań służyła różnym celom. Hooke (...) nastawiony był na liczne, szybkie i łatwe podboje; Newton, zafascynowany jakąś kwestią, drażył ją niezmordowanie, dopóki nie wydobył z niej tajemnicy (...). Z pięciu czy sześciu badań, które przeprowadził, wychodził za każdym razem zwycięsko; niepowodzenie przyniosła mu tylko alchemia. Hooke odniósł wiele łatwych zwycięstw, do których należą jego wynalazki i tak zwane prawa Hooke’a (prawa teorii sprężystości” (tamże, s. 147).

²² „Na czele Royal Society nie było miejsca jednocześnie i dla Hooke’a i dla Newtona. Niczym w stadzie zwierząt, tylko jeden mógł być przywódcą. W królestwie, w którym niepodzielnie panował dotąd Hooke, Newton był intruzem, a w miarę jak wschodziła jego gwiazda, Hooke tracił władzę i obniżał się jego status. Walczył więc o swoją pozycję, pomniejszając zasługi intruza, nieustannie oskarżając go o plagiaty; bronił zawzięcie swego stanowiska aż do śmierci w 1703 roku. Dopiero wówczas Newton został mógł prezesem Royal Society i niekwestionowanym przywódcą stada” (tamże, s. 170 i n.).

Aby nie być posądzonym o gołosłowność, odwołam się do relacji Jamesa D. Watsona, profesora Uniwersytetów Harvarda i Cambridge i jednego ze współodkrywców struktury DNA (nazywanej również „podwójną helisą”)²³. W swoich wspomnieniach przywołuje on kilku udziałowców tego znaczącego w nauce odkrycia i o każdym z nich ma coś interesującego do powiedzenia. Przedstawia to – jak sam przyznaje – wprawdzie niezbyt obiektywnie, ale za to bez tego namaszczenia, które cechuje autorów hagiografii. Przykładem może być jeden ze współautorów tego naukowego sukcesu Francis Crick. Autor *Podwójnej helisy* przywołuje go przy wielu różnych okazjach i kreśli jego wizerunek osobowy trochę żartobliwie, a trochę złośliwie. Stwierdza tam m.in., że „nigdy nie zdarzyło mu się spotkać Cricka w nastroju skromnej powściągliwości. (...) Dziś wiele się o nim mówi, najczęściej z prawdziwym szacunkiem, a pewnego dnia być może zostanie uznany za kogoś tej rangi co Rutherford czy Bohr. Inaczej to jednak wyglądało, gdy w końcu 1951 roku przybył do Laboratorium im. Cavendisha w Cambridge, by wziąć udział w pracach małego zespołu fizyków i chemików, zajmujących się badaniem struktury przestrzennej białek. Choć miał kilku przyjaciół (...), to jednak raczej nie był lubiany”, a niektórzy członkowie tego zespołu – jak np. „sir Lawrence Bragg, laureat Nagrody Nobla i jeden z twórców krystalografii” – „na sam dźwięk głosu Cricka zwykle szybko wycofywał się w poszukiwaniu zacisznego kąta”²⁴. Trudne do zniesienia było zachowanie Cricka dla jego kolegów-profesorów, a jeszcze trudniejsze dla tych, którzy nie mieli profesorskich tytułów. Takimi osobami wymienianymi w tych wspomnieniach są m.in. młody fizyk Maurice Wilkins („magistrant z londyńskiego King’s College”) oraz Rosalind Franklin (pełniąca początkowo w tym zespole funkcję laborantki). Ten pierwszy „wciąż pogłębiał frustrację Francisca, nie zdradzając nigdy wielkiego entuzjazmu wobec DNA”. Natomiast ta druga wręcz przeciwnie – „domagała się, by DNA zostało jej oddane «na własność», jako przedmiot jej własnych badań”. Kiedy okazało się, że „nie jest ona taką osobą, która łatwo daje za wygraną”, Crick „nie mógł się uwolnić od myśli, że najlepiej będzie, jeśli ta feministka znajdzie sobie schronienie w innym laboratorium”. Z dalszych opisów zachowań tych trzech udziałowców odkrycia struktury DNA jasno wynika, że żaden z nich nie był bez „grzechu” – takiego m.in. jak przypisywanie sobie

²³ W 1962 roku autor tej książki razem z F. Crickiem, M. Wilkinsem oraz Rosalind Franklin otrzymali Nagrodę Nobla w dziedzinie medycyny i fizjologii.

²⁴ „Choć wobec kolegów Crick zachowywał się na ogół grzecznie i traktował ich z szacunkiem, zwykle jednak nie ukrywał przed nimi, że jego zdaniem nie zdają sobie sprawy z rzeczywistego znaczenia wyników swych ostatnich doświadczeń. Prawie natychmiast proponował masę nowych eksperymentów, które z pewnością potwierdziłyby jego interpretację dotychczas uzyskanych rezultatów. Co więcej, nie potrafił powstrzymać się przed rozpowiadaniem wszystkim, jak to jego nowe i mądre pomysły mogą przyczynić się do rozwoju nauki”. Por. J.D. Watson, *Podwójna helisa. Historia odkrycia struktury DNA*, Wydawnictwo Prószyński i S-ka, Warszawa 1995, s. 17 i d.

najbardziej znaczącej roli w tym przedsięwzięciu oraz w okazywaniu przesadnej drażliwości na punkcie swojej osoby.

Kilka ogólnych uwag i sugestii

Na początek uwagi i sugestie związane z pytaniami: mówić czy też nie mówić o wrażliwości i drażliwości uczonych? oraz jak o nich mówić i przy jakich okazjach? Zapewne niejednen z uczonych skłonny byłby się opowiadać za tym, aby raczej mówić o pierwszej z nich niż o drugiej i to mówić tak, aby wychodziło na to, że jego wrażliwość, jeśli nawet nie stawia go wyżej od tzw. zwykłych śmiertelników, to ma taki charakter, że nie jest, i być nie może, udziałem każdego. Jest to jednak pierwszy krok w kierunku kreowania wizerunku różnego rodzaju świętych; a przecież uczeni nie byli, nie są i raczej nigdy nie będą takimi świętymi, do których modlą się wierzący w ich nadprzyrodzone moce. W każdym razie niewiele na to wskazuje, aby takie moce posiadali. Rzecz jasna nie przeszkadza to różnego rodzaju hagiografom w kreśleniu takiego ich wizerunku uczonych, że wychodzi na to, iż wszystko, lub prawie wszystko, to, co robili, robili dobrze, i wszystko to, co mówili, mówili mądrze. Należałoby jednak również unikać drugiej skrajności i przedstawiać wyłącznie lub głównie „ciemną” stronę ich wrażliwości i drażliwości lub tak eksponować negatywne strony ich osobowości, że traci na znaczeniu to, co faktycznie zrobili i mówili dobrze i mądrze. Takie przedstawianie uczonych jest jednym ze sposobów strącania ich z pomników, lub też – co w gruncie rzeczy na to samo wychodzi – takiego „hejtowania”, że odechciewa się żyć. Tym, którzy realizują w tego rodzaju scenariusze, chciałbym zadedykować słowa wielkiego filozofa G.W. Hegla (dopasowując je jednak do potrzeb tej narracji): patrząc z pozycji kamerdynera, nie ma, i być nie może, takich wielkości, które zasługiwałyby na uznanie i szacunek otoczenia – ów przysłowiowy kamerdyner może bowiem powiedzieć niejedno na temat różnego rodzaju słabości i słabostek swojego pracodawcy; a to, że nie chce, lub nie jest w stanie dostrzec i zrozumieć jego autentycznych wielkości, ma już mniejsze znaczenie dla tych, którzy gustują w tego rodzaju plotkarskich doniesieniach. Moim zdaniem żadna z przywoływanych przeze mnie relacji na temat życia i działalności wybranych uczonych nie wpisuje się ani w hagiograficzny, ani też w plotkarski scenariusz. W relacji J.D. Watsona wprawdzie nie brakuje różnego rodzaju uszczypliwości, a miejscami nawet pewnych złośliwości, to jednak w moim przekonaniu niewiele ujmuje to przywoływanym w niej uczonym z ich wielkości, a sporo dodaje im autentyczności. Żadna z nich nie narusza też tych standardów narracyjnych, które obowiązują w środowisku akademickim. Mam nadzieję, że użyte przeze mnie określenia są również do zaakceptowania przez to środowisko i nikt się specjalnie nie obrazi, jeśli dostrzeże w tych uwagach i sugestjach jakieś podobieństwo do swojej osoby.

Kolejne uwagi i sugestie związane są z pytaniem: w jaki sposób rozpoznawać wrażliwość i drażliwość uczonych? W pierwszej części swoich rozważań przywołałem kilka przykładowych sposobów ich ujmowania i przedstawiania. Do każdego z nich można jednak zgłosić jakieś „ale”. Ten sposób ich rozpoznawania, który proponuje i stosuje w swojej praktyce Elaine N. Aron, jest obarczony – jak sama przyznaje autorka tej książki – „tendencyjnością psychologii”. Oznacza to m.in., że wiele tutaj zależy nie tylko od stosowanych w tej dyscyplinie metod badawczych, ale także od doboru tzw. próby badawczej. Jakoś trudno jest mi sobie wyobrazić, aby znaczące w nauce osoby dały się namówić na typowo psychologiczne testowanie ich osobowości, a jeśli już, to zapewne dążyłyby do uzyskania takiego wyniku, który by je przedstawiał w możliwie najlepszym świetle i – co nie mniej istotne – w niejednym przypadku taki „świetlany” obraz potrafiliby wykreować. Obarczone sporym błędem są jednak również te sposoby badania wrażliwości i drażliwości uczonych, które są oparte na tym, co na ten temat napisali inni. Spora część takich przekazów pochodzi bowiem z tzw. drugiej ręki i niejednokrotnie skrojona jest na miarę potrzeb i wyobrażenia piszących, a niekiedy również ich tzw. pobożnych życzeń. Różnego rodzaju „ale” można również zgłosić do tych relacji, które są wynikiem tzw. obserwacji uczestniczącej. Jej przykładem może być przywołana w tych rozważaniach relacja Jamesa D. Watsona. To, że nie „grzeszy” ona nadmiernym obiektywizmem, przyznaje sam autor *Podwójnej helisy*. Jestem jednak przekonany, że zmartwiłby się on dopiero wówczas, gdyby ktoś mu wykazał, że jego charakterystyki tych osób, które pojawiają się na kartach jego książki nie tylko pozbawione są całkowicie obiektywizmu, ale także nie mają w sobie niczego zabawnego. Rzecz jasna, każda z tych osób opowiedziałaby historię tego znaczącego w nauce odkrycia inaczej i zapewne przedstawiłaby siebie i swój udział w nim inaczej i być może zdobyłaby się nawet na jakąś autoironię (wątpię jednak, czy byłby do niej zdolny tak często przywoływany w tej książce F. Crick). Jaka wynika z tego ogólna sugestia? Taka m.in., że w tak zróżnicowanej i różnicującej się „materii”, jaką stanowi wrażliwość i drażliwość uczonych, warto jej się przyjrzeć z różnych stron oraz próbować ją opisywać i wyjaśniać korzystając z różnych metod poznawczych i porównywać swoje własne spostrzeżenia i doświadczenia w tym zakresie z tymi, które były udziałem wielu innych osób. Rzecz jasna, może się na końcu okazać, że uczeni pod jednymi względami są wyjątkowi, ale pod wieloma innymi typowi lub przynajmniej specjalnie nieróżniący się od tych, którzy niewiele wspólnego mają z nauką. Nie będzie to jednak żadnym wielkim odkryciem.

Moje wieloletnie funkcjonowanie w środowisku akademickim skłania mnie do wniosku, że niejedna z funkcjonujących w nim osób skłonna jest traktować siebie jako kogoś pod wieloma względami wyjątkowego i czasami pod niektórymi względami (ale tylko pod niektórymi) jest wyjątkowa. Jednak nawet w przypadku takich osób dobrze jest znać swoją miarę i nie wywyższać się ponad nią, bo łatwo można popaść w samo-

uwielbienie i znaleźć się w gronie tych, którzy wprawdzie jeszcze niczego wielkiego w swoim życiu zawodowym nie osiągnęli, ale myślą i mówią o sobie w taki sposób, jakby się znajdowali na krótkiej liście kandydatów do Nagrody Nobla; a ci, którzy powątpiewają w ich wielkość wywołują jedynie ich rozdrażnienie lub nawet frustrację. Nie jest jednak żadną regułą to, że ci, którzy mają stosunkowo najbardziej znaczące osiągnięcia w nauce, mają też skłonność do „noszenia głowy” tak wysoko, że ich wielkość jest w stanie dostrzec każdy – nawet portier wydający im klucze do drzwi ich gabinetu. Znam takich uczonych, którzy nie tylko nie mają tego rodzaju skłonności, ale także niewiele sobie robią z tego, że nawet w ich bliskim otoczeniu są takie osoby, które nie chcą lub nie potrafią ocenić i docenić ich osiągnięć. Rzecz jasna, każdemu – nawet tym osobom – miło jest usłyszeć, że swoimi dokonaniem wyrastają ponad krajowe „podwórko”. Jednak bez tego rodzaju miłych gestów i słów można również jakoś żyć i zupełnie dobrze funkcjonować w nauce. Pewnym problemem w środowisku akademickim nie jest jednak brak tego rodzaju gestów, lecz zachowania tych osób, które ich się domagają niemal od każdego – mimo że ich dokonania nie są bezdyskusyjne i nie zawsze sytuują się w najważniejszych obszarach działalności akademickiej. Daleki jestem od bagatelizowania osiągnięć w takich obszarach jak administrowanie i zarządzanie uczelnią. Mają one jednak charakter pomocniczy i w żadnym przypadku nie mogą być stawiane na tym samym poziomie co osiągnięcia badawcze. Powiedzenie tego wprost lub chociażby tylko aluzyjnie osobom, które stawiają na administrowanie i organizowanie warunków pracy tym, którzy skupiają się głównie na prowadzeniu badań, może wywoływać, i niejednokrotnie wywołuje, ich rozdrażnienie, a nawet demonstracyjne lekceważenie tych, którzy ośmielili się uchybić ich „wielkościom”. Czasami to bywa zabawne, ale znacznie częściej irytujące dla ich bliższego i dalszego otoczenia.

Jeszcze parę słów o tym, co mnie drażni i irytuje w akademickim życiu. Do tych pierwszych należą m.in. takie wyobrażenia znaczących uczonych, które albo świadczą o ich jakimś życiowym infantylizmie, albo też wręcz przeciwnie – o takiej przedsiębiorczości i zaradności w załatwianiu swoich interesów, że mógłby się od nich uczyć niejeden biznesmen. Jedne i drugie funkcjonują nie tylko w środowisku akademickim. Te pierwsze zdają się być nawet popularniejsze w tzw. przekonaniach potocznych. W świetle tych wyobrażeń wyrastający ponad umysłową przeciętność uczonego to osoba wprawdzie o pewnej sprawności intelektualnej, ale takiej nieporadności życiowej, że nie potrafi właściwie załatwić spraw swojego codziennego życia i współżycia z innymi. Rzecz jasna, w tym środowisku zdarzają się takie osoby. Co więcej, niektórym z nich żyje się z tym wygodnie, bowiem wiele z ich życiowych spraw załatwiają inni – współmałżonkowie, przyjaciele, podwładni itd. Jednak twierdzenie, że jest to typowy uczonego nie tylko nie ma wiele wspólnego z akademicką rzeczywistością, ale także zupełnie nie przystaje do tego „modelowego” uczonego, który również funkcjonuje i w tym środowisku, i na

którego zdaje się być dzisiaj dużo większe zapotrzebowanie niż w przeszłości. Posiada on takie cechy organizatora naukowych przedsięwzięć, które sprawiają, że nie tylko orientuje się w tym, co trzeba i warto badać, ale także, jakiego rodzaju są do tego potrzebni specjaliści, jak pozyskać na te badania środki finansowe, jak je umiejętnie rozdysponować i rozliczyć itd. Irytujące jest nie to, że takim osobom przypisuje się znaczące role w życiu akademickim, lecz to, że mają to być role wiodące, a także to, że niejednokrotnie przedstawia się takie osoby jako wzorce do naśladowania przez wszystkich innych członków tej społeczności. Rzecz jasna, dla realizacji tych zadań, które stoją dzisiaj przed nauką, potrzebni są różnego rodzaju wykonawcy. Jeśli jednak zabraknie w tym gronie tych, którzy bezpośrednio zaangażowani są w badania naukowe, lub też jeśli przypadnie im rola podwykonawców, to uczelnie przestaną wykonywać swoje podstawowe zadania i staną się – jak to się dzisiaj mówi – „firmami”. Być może nie do końca o to chodzi tym, którzy stoją za obecnymi projektami reformowania polskich uczelni i nauki w Polsce (w każdym razie mam taką nadzieję).

The sensibility and anger of scholars

The issue in the title is known and is being analyzed for a long time, however its complexity makes the setting of both – the future of it and contemporary form – emerge a lot of questions marks. I do not intend to leave most of them aside. I do make an attempt however to present its complexity and as well the importance in the reflexion upon life and activity of scholars. In these remarks I do recall several ways of presenting it and do make an attempt to stress out those of research possibilities which may lead to interesting outcomes. In the end part of the remarks I do present some of them. I treat this step as an invitation to further discussion on the sensibility and anger of scholars.

Key words: sensibility and anger of scholars, historical examples, ways of presenting it and research

